
PRAWDZIWY OPÓR I POZORNA KONFORMIZACJA

TOMASZ WIŚCICKI

**NSZZ „Solidarność” 1980–1989, t. 6: Polska południowa, red. Łukasz Kamiński, Grzegorz Wali-
góra, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2010, ss. 977.**

Nieczęsto zdarza się, by indeks osobowy do książki, nawet opastej, nawet bardzo naukowej, liczył 82 strony – a tak właśnie jest w omawianej publikacji. Ta olbrzymia lista osób nie jest rzeczą jasną przypadkową. Jest to bowiem jeden z siedmiu tomów, stanowiących w sumie – wstępną mimo rozmiarów i mimo upływu trzydziestu lat od omawianych wydarzeń – syntezę gigantycznego ruchu Solidarność, który w szczytowym okresie obejmował większość dorosłej ludności Polski. W tomie szóstym opisano południowe regiony NSZZ Solidarność: małopolski, śląsko-dąbrowski, dolnośląski, jeleniogórski, Śląska Opolskiego, Podbeskidzia, świętokrzyski i częstochowski.

Dobrze się stało, że autorzy nie szczędzą czytelnikowi personaliów, nawet jeśli ich zdecydowana większość mało komu coś mówi. Można powiedzieć: to wstyd, że tak niewiele spośród tych nazwisk zostało zapamiętanych. Niech chociaż zostaną wymienione na stronach tej pracy – ogromnej jak ruch, który opisuje.

Publikacja IPN nadrabia wielką i wstydliwą zaległość – zbiera po prostu podstawowe fakty dotyczące historii Solidarności. Nie porywa błyskotliwością narracji, odkrywczością stawianych tez, śmiałością konkluzji. Autorzy postawili przed sobą zadanie mniej efektowne, bardziej niewdzięczne:

przedstawić po prostu przebieg wypadków. Widać to zwłaszcza w tomach takich jak opisywany – sumiennie przedstawiających wydarzenia z setek miast, miasteczek, wsi południowej Polski. Choć ten rodzaj pisania historii może się wydać niemodny, trochę dziewiętnastowieczny, jednak jest absolutnie niezbędnym etapem opisanie solidarnościowej epopei. Musimy po prostu wiedzieć, co się konkretnie wydarzyło. Stąd drobiazgowy wyliczenie faktów, struktur, tytułów pism, a przede wszystkim ludzi, którzy byli sprawcami tych wszystkich faktów składających się na jeden z najbardziej niezwykłych fenomenów dwudziestowiecznej historii.

Te detaliczne opisy pozwalają zrozumieć skalę solidarnościowego poruszenia. Wszyscy znamy liczbę (z lekka zaokrągloną w górę) 10 mln członków Solidarności latem 1981 r., w okolicach jej krajowego zjazdu. Przyzwyczailiśmy się do tej liczby, wiemy, że była olbrzymia – i więcej się nad nią nie zastanawiamy. Gdy jednak przeczytamy litanie faktów i osób, musi pojawić się zdumienie: skąd nagle wzięli się ci wszyscy ludzie? Skąd pojawiły się tysiące samorodnych przywódców, którzy natychmiast przystąpili do działania na wieść o tym, że w Gdańsku komunistyczna władza wyraziła zgodę na samoorganizowanie się społe-

czeństwa poza ramami wyznaczonymi, kontrolowanymi i manipulowanymi przez tę władzę.

A wszystko to działo się po gierkowskiej dekadzie względnej prosperity, kiedy – jak się wydawało – zdecydowana większość społeczeństwa dała się spacyfikować za pomarańcze na święcie „Trybuny Ludu”, talon na małego fiata (a dla niektórych dużego...), wczasy w zakładowym ośrodku albo i w którymś z „bratnich” krajów. Ten okres to z jednej strony czas pojawienia się zorganizowanej, świadomej opozycji, z drugiej – właśnie powszechnej konformizacji społeczeństwa. Wizje z piosenek Jana Krzysztofa Kelusa nie były wymysłem opozycjonisty sfrustrowanego brakiem powszechnego odzewu wolnościowych haseł. Taka była większość społeczeństwa. I nagle – nieprawdopodobne przebudzenie, w znacznej większości tych samych ludzi, którzy wcześniej potulnie znosili komunizm i wydawali się usatysfakcjonowani tym, że jest trochę lepiej.

Nie w tym rzecz, że druga połowa lat siedemdziesiątych to okres załamywania się nadziei na może powolny, ale nieprzerwany „dalszy dynamiczny rozwój”. Władza zbyt wcześnie ogłosiła, że – zgodnie z propagandowym hasłem z początku dekady – „Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej”. Ale przecież istotą ruchu Solidarność był jego wolnościowy i godnościowy charakter. Owszem, zaczynało się od żądania podwyżek, ale natychmiast pojawiały się postulaty jak najbardziej polityczne – w sensie roztropnej troski o dobro wspólne.

Ogromne wrażenie robi przełożenie tej wiedzy – powszechnej, zbanalizowanej – na konkret: na setki nazwisk konkretnych ludzi, którzy natychmiast trafnie odczytali, przed jak ogromną, bezprecedensową szansą stanęli. Tu widać, na czym polega samoorganizowanie się społeczeństwa.

Nie można też nie zadać sobie pytania, skąd ci wszyscy ludzie wiedzieli, co powinni zrobić. Skąd wzięli te niespodziewane umiejętności: formułowania oczekiwań wobec władzy, tworzenia instytucji, przeprowadzenia wyborów, zorganizowania

zebrania, zredagowania czasopisma. W szkole się tego nie nauczyli... Nie dowiedzieli się też tego w oficjalnych, fasadowych instytucjach, zorganizowanych na przeciwstawnej zasadzie, gdzie wszystko płynęło z góry na dół, a jak ktoś miał złudzenia, że może być odwrotnie, to szybko się dowiadywał, jak bardzo był w błędzie. Totalitarna władza miała dość środków, by konformizować poddanych – zresztą czyniła to do pewnego momentu dość skutecznie. I nagle – na jedno hasło, z Gdańska przede wszystkim (w niczym nie ujmując pozostałym ośrodkom Sierpnia), ujawniają się miliony nonkonformistów, w tym – tysiące takich, którzy wiedzieli, co robić. Pojawili się – co widać wyraźnie w omawianym tomie – nie tylko w dużych miastach, ale i w małych ośrodkach. Nagle wyłania się alternatywna elita społeczeństwa – w przeciwieństwie do tej komunistycznej w pełni zasługująca na tę nazwę. I wskazuje drogę.

Nasuwa się tu określenie „mądrość zbiorowa” – wydawałoby się, że do cna ośmieszona i skompromitowana. A jednak trudno go nie użyć, widząc, jak tysiące nieznających się wzajemnie, niedoświadczonych ludzi podejmuje działania zmierzające w tym samym kierunku, podchwytuje pomysły, uczy się od siebie nawzajem.

Nie mam zamiaru idealizować tego poruszenia. Zjadacze chleba nie zostali przerobieni w aniołów; autorzy opisują, a czasem tylko dają do zrozumienia, rozmaite małości, słabości, ambicjonalne konflikty. Każdy, kto te czasy przeżył świadomie, pamięta niekończące się, chaotyczne zebrania – skrzyżowanie sejmiku z wiecem. Pamiętamy głosowania nad tym, czy przeprowadzić głosowanie i wnioski formalne w sprawie otwarcia okna. Kiedy jednak odrzucimy tę pianę, widzimy zdumiewający poziom świadomości i konkretne umiejętności temu towarzyszące. Kiedy się nad tym chwilę zastanowić, nie można nie popaść w bezbrzeżne zdumienie: jak to było możliwe?

Nie potrafię dać na to pytanie odpowiedzi, jednak jeden wniosek wydaje się oczywisty. Ta błyskawiczna i powszechna samoorganizacja spo-

łączeństwa pokazuje, jak powszechnie w istocie odrzucano komunizm. Konformizacja była – jak się okazuje – nader powierzchowna. Owszem, pomiędzy jednym społecznym wybuchem a drugim większość społeczeństwa pozostawała bierna, a nawet demonstrowała podporządkowanie władzy. Gdy jednak pojawiają się możliwości działania, natychmiast są wykorzystywane. Płynie stąd nauka, by nie mylić zewnętrznego podporządkowania systemowi z rzeczywistą jego akceptacją. Choć o zgubnych skutkach komunizmu dla społecznej świadomości napisano już tomy, to te długie szeregi nazwisk przywódców i miliony członków struktur, które stworzyli, pokazują, jak mylny jest obraz Polaków potulnie podporządkujących się komunizmowi – chętnie przytaczany przez tych, którzy nie zgadzają się z wizją milionów zaangażowanych w antykomunistycznym oporze. Ta bohaterańska wizja wydaje się zafaszowywać rzeczywistość, ale obraz stanowiący nań odtrutkę też jest bardzo odległy od realiów.

Drobiazgowy wyliczenie inicjatyw z okresu po 13 grudnia 1981 r. pokazuje z kolei, że – wbrew nadziejom twórców stanu wojennego i naszym ówczesnym obawom – powrót do *status quo ante* był niemożliwy. Nawet jeśli duża część 10 mln gdzieś się rozpierzchnęła, to jednak pozostały tysiące. Nawet w najbardziej ponurym okresie lat 1986–1987, kiedy wydawało się, że społeczeństwo zostało spacyfikowane, to jednak ta stabilizacja nastąpiła na poziomie zupełnie nieporównywalnym nawet z drugą połową lat siedemdziesiątych. To już nie były izolowane grupki szlachetnych opozycyjnych desperatów – to były dobrze zorganizowane, wypróbowane w działaniu sieci przenikające rozmaite grupy społeczne, także takie, w których wcześniej nic się nie działo. Czytając te obszerne wyliczenia ówczesnych opozycyjnych inicjatyw, lepiej rozumiemy, dlaczego komunizm upadł dużo szybciej, niż byliśmy gotowi wtedy oczekiwać. Okazuje się, że została przekroczona masa krytyczna i mimo że władza do samego końca zachowała fizyczne możliwości zniszczenia

oporu przeciwko sobie, to jednak prosty powrót do przemocy na dużą skalę – taką w stylu stalinowskim – nie był możliwy.

Omawiana księga opisuje społeczny opór także od strony jego wrogów, przede wszystkim Służby Bezpieczeństwa. Autorzy ostrożnie i z umiarem wykorzystują materiały zachowane w archiwum IPN. Nie odpowiadają – bo odpowiedzieć nie są w stanie – na jedno z najważniejszych pytań: o skuteczność działań tajnych służb. Odpowiedzieć na to pytanie niezmiernie trudno, ponieważ dysponujemy źródłami jednej tylko strony: SB, która z oczywistych powodów miała skłonność do przeceniania swojej skuteczności. Druga strona tych zabiegów, nawet jeśli się czegoś domyślała, to z definicji nie znała działań przeciwko sobie. W połączeniu ze zniszczeniem znacznej części akt dowiadujemy się głównie tego, co SB planowała, dużo mniej – co konkretnie zrobiła, a niemal nic na temat tego, co rzeczywiście udało jej się osiągnąć.

Prześledzić to można na przykładzie działań „dezintegracyjnych” (czyli wywołujących konflikty i podsycających już istniejące) w największym regionie Solidarności – śląsko-dąbrowskim. SB stawiała sobie dwa cele: nie dopuścić do zjednoczenia związku w całym regionie oraz wzmacniać elementy ugodowe, a osłabiać radykalne. Cel pierwszy był właściwie z definicji tymczasowy: SB mogła próbować opóźnić proces jednoczenia, trudno sobie wyobrazić, by – wobec oczywistych korzyści płynących z jedności – udało się go zatrzymać.

Cel drugi – spacyfikowanie działaczy radykalnych, umocnienie ugodowych – udało się tylko częściowo. Jarosław Sienkiewicz, faworyt władz, stanowczo przesadził, czy też może sterujący nim działacze przesadzili. Jego wiernopoddańcze adresy do władz, pisane językiem jak z materiałów szkoleniowych Wydziału Propagandy i Agitacji, musiały doprowadzić do jego marginalizacji. Andrzej Żabiński, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR i patron Sienkiewicza, najwyraźniej nie dostrzegł różnicy między samoograniczeniem

związku i braniem pod uwagę realiów – a zgodą na podporządkowanie Solidarności komunistom. Dostrzegli ją natomiast związkowcy i choć nimbu współtwórcy porozumień w Jastrzębiu wystarczyło Sienkiewiczowi na jakiś czas, to jednak jego kariera musiała się załamać.

Z drugiej strony – za sukces poczytała sobie SB zepchnięcie na dalszy plan ocenianego jako najgroźniejszy przeciwnik Andrzeja Rozpłochowskiego. Mimo że kierowany przez niego katowicki MKZ był najsilniejszy w regionie, jego przywódca nie tylko nie został szefem zjednoczonych władz regionalnych, ale nawet nie wszedł do zarządu.

Pozostaje oczywiście pytanie, na ile owe sukcesy SB były efektem jej działań, a na ile wynikiem czynników, na które bezpieczeństwa nie miała wpływu. Autorzy powściągliwie komentują, że nie da się tego z pewnością stwierdzić, opowiadając się za tym, że owszem, SB miała wpływ, ale były i inne czynniki: rozmiary regionu, jego zróżnicowanie, osobiste cechy protagonistów, ich ambicje itp. Tyle tylko da się odpowiedzialnie powiedzieć, tym bardziej że działania dezintegracyjne podejmowano zwykle tam, gdzie zarzewie konfliktów już istniało; rzadko usiłowano wywołać konflikt od zera.

Ten sceptycyzm poznawczy jest zarazem świadectwem tego, jak wiele jeszcze pozostaje do zbadania i jak wiele – być może – pozostanie nieznanne. (Prawie) nieskrępowane badania nad tym, co pozostało z akt SB, toczą się przecież dopiero od kilku lat. A przecież są jeszcze inne służby, o których zaangażowaniu w zwalczanie opozycji nie wiemy prawie nic: wywiad i kontrwywiad MSW (badane są głównie akta tej „zwykłej” SB), służby wojskowe, wreszcie bezpieczeństwa krajów ościennych – Związku Sowieckiego czy NRD. To wszystko dopiero czeka na zbadanie.

Od opisywanych wydarzeń minęło zaledwie dwadzieścia, trzydzieści lat, czyli – dla historyka – niewiele. A jednak z powodu opóźnienia w ba-

daniach pewnych faktów nie potrafimy już ustalić. Nie wiadomo, kiedy odbyło się jakieś zebranie, nie wiemy, kto brał udział w jakichś działaniach. To bardzo charakterystyczne dla działań spontanicznych, zwłaszcza w fazie organizacji Solidarności: nikt nie dbał o dokumentowanie dziejącej się historii, a kiedy z jakichś powodów świadkowie są niedostępni albo zawodzi ich pamięć – pozostaje kolejny znak zapytania. W niektórych przypadkach w rolę „protokolantów” wcielili się esbecy, dokumentując dla swoich celów to, czego zaniebdali zanotować uczestnicy wydarzeń.

Forma książki podporządkowana jest założeniom całości. Stąd sztywny podział poświęconych poszczególnym regionom rozdziałów na podrozdziały: *Narodziny związku; Działalność legalna; Stan wojenny i „normalizacja”; Odbudowa*. Rozdzielają je daty: 10 listopada 1980 r., 13 grudnia 1981 r., październik 1986 r. Datą początkową jest lipiec 1980 r., końcową – kwiecień 1990 r. Ta struktura jest oczywista i zrozumiała – jeśli czegoś brak, to podziału w ramach ogromnych podrozdziałów, w których znalezienie konkretnej informacji jest nader utrudnione. Aż by się prosiło o dalszy podział tych podrozdziałów – już może mniej sztywny, bardziej uwzględniający specyfikę opisywanych regionów. Sama natomiast oprawa graficzna, bardzo prosta, jest przyjazna czytelnikowi (przypisy na dole strony, a nie na końcu!). Przydałaby się może tylko żywa pagina, zwłaszcza wobec ogromnych rozmiarów pracy.

Omawiana praca wypełnia (nareszcie!) dotkliwą lukę. Jest podsumowaniem tego, co wiemy o Solidarności w południowej części naszego kraju. Każdy, kto szuka konkretnych faktów na ten temat, powinien wziąć do ręki gruby tom wydany przez Instytut Pamięci Narodowej. Ci, którzy to uczynią, znajdą w nim inspirację do dalszych badań. Ich prowadzenie jest – nie waham się tak stwierdzić – kwestią zasadniczej wagi dla naszej narodowej wspólnoty.